Nr. 4. Lwów, Niedziela, dnia 24. stycznia 1892 r. Wydawnictwa Rok XV.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

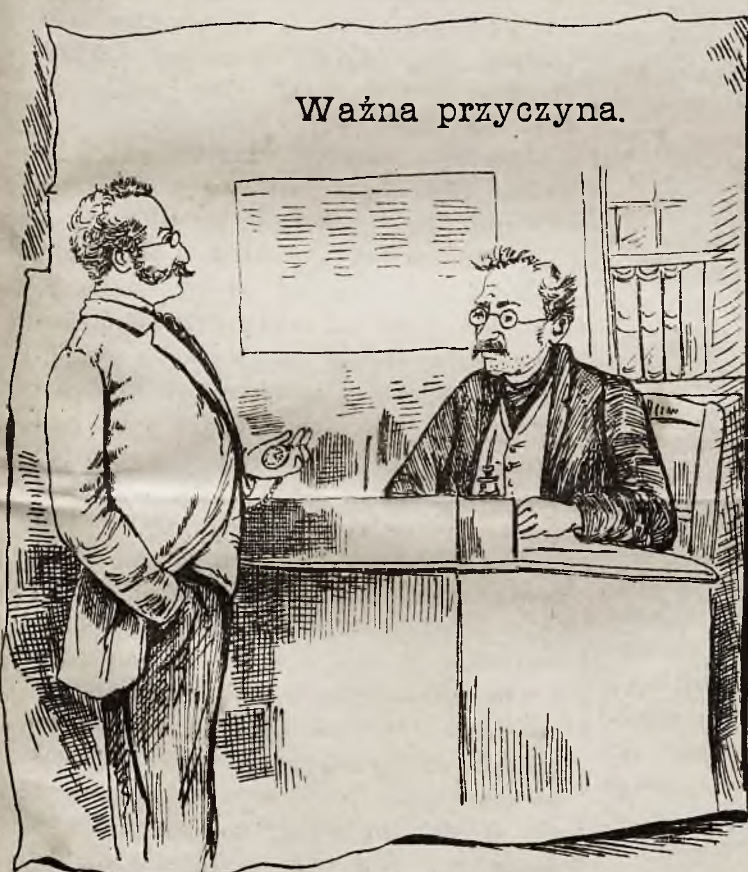
Tygodnik humorystyczno-satyryczno-literacki, illustrowany.

Numer pojedyńczy 20 ct. wal. austr.

Goniec i Iskra wychodzi **w każdą niedzielę.** Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane*. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

*Właściciel i naczelny redaktor: **M. D. Chamski**.*

Ważna przyczyna.



— Czemu pan nie idziesz na objad, panie Diurnistowski?...

— Mam zawsze na objad właściciela domu, który się upomina o czynsz za mieszkanie — jużem od tego dostał kataru żołądka — wolę w biurze przesiedzieć...

Z rysunków Fr. Kostrzewskiego.



— I znowu się zirytowałem z tym cymbałem ekonomem, a dałem sobie słowo, że się gniewać już nigdy nie będę!...

— E, bo też byle komu słowa nie dawaj...



Na ulicy.

— Panie daleko idą?...

— Ztąd nie widać...

— Ja mam dobry wzrok — zobaczę z pewnością...

— Tak, ale możesz pan oślepnąć od tego, co pana tam spotka...

Od ręki.

= Czemu?

— Czemu księżyc jest takim ulubieńcem poetów?

— Bo nic nie mówi, tylko słucha.

= Może to i prawda.

— Mój przyjacielu — nie mógłbyś wytłomaczyć, co jest przyczyną częstego obłędu, u ludzi mego zawodu — u poetów?

— O ile mi się zdaje — manja wielkości.

— No, to u małych — ale u wielkich?

— Wielcy obawiają się, aby nie zostali małymi...

= Z patrjotyzmu.

Ojciec. Jedz mi zaraz kaszę tatarczaną, dam ja ci grymasy!..

Syn. Ojcze, wierz mi — ja bardzo lubię tę potrawę — ale nie może mi przejść przez gardło — bo przypomina mi napady tatarów, ich mordy, pożogi — widzę krew — słyszę jęki...

Ojciec. (rozczulony do matki) Daj mu leguminę, niech o tem zapomni!...

= Bagatela!...

Obok elektryczności, kwitnie w Ameryce ekscentryczność, którą yankesi wywieźli sobie w dziedzictwo z pierwotnej ojczyzny, z kraju macierzystego — z Anglji. Ta właściwość, ta choroba ich umysłowa, jeśli chcecie, płodzi, wprawdzie, nieraz wielkie dziwolągi, ale czasami też przyczynia się do urozmaicenia jałowości życia i pomysłów. Już raz na tem miejscu wspominałem, że do najbardziej oklepanych pomysłów należą już dzisiaj podróże około świata, a jednak ekscentryczni amerykanie umieją zawsze czemś nowem je odświeżyć i nadać im cechę oryginalności. Teraz, naprzykład, niejaki mr. Gisbert Waseler z Alossandrji, w stanie Minnesoty, postanowił podróż taką, o ile ona wypadnie na lądzie stałym, odbyć konno... Nibyto nic, a jednak 500 dni jednym ciągiem mniej więcej, jest to przejażdżka, na którąby się nie każdy sportsman europejski odważył. Czy ją szczęśliwie do końca odbędzie i mr. Gisbert, to się dopiero pokaże..

= Wziął ich na kawał...

Mowa rzymian, wcale nie jest popularną w Ameryce, ale to tak dalece, że niejaki doktor Bernard Mayer z Berlina przez długie lata praktykował, jako lekarz w mieście Seath, w stanie Washington, na podstawie dyplomu po łacinie wystawionego przez uniwersytet w Jenie. Kuracje nie udawały mu się bardzo szczęśliwie, ale amerykanom imponował dyplom łaciński; zażywali jego mikstury,



umierali, ale umierali po cichu. Dopiero niedawno, gdy znakomity lekarz niemiecki za wielu ludzi naraz uśmiercił, władze miejscowe zabrały mu ów tajemniczy dokument i przesłały go do Europy, celem dowiedzenia się, co właściwie treść jego w sobie zawiera. No i niebawem otrzymały odpowiedź stwierdzającą, że ów cyrograf jest rzeczywistym, formalnym, autentycznym dyplomem na doktora, ale nie na doktora medycyny, tylko — prawa!...

= Myśl z głowy dygnitarza.

„Przyszedłem do tego przekonania, że należy tak postępować, aby nie życie obciążać sumieniem, lecz sumienia nie obciążać życiem“...

= Ratował się, jak mógł..

Umierający żyd odwrócił się i rzekł do swojej żony:

— Ryfke! idź, włóż na siebie tę ładną jedwabną suknię, załóż w uszy brylantowe kolczyki, weź sznur pereł na szyję, uczesz się ładnie i we włosy zatknij djamentowe szpilki i wsadź na ręce złote bransolety...

— Po co to wszystko? Jak ty możesz myśleć teraz o takich rzeczach, kiedy jesteś śmiertelnie chory?...

— Idź! i zrób tak, jak ja każę, a potem przyjdź do mnie — ja tak chcę!...

Posłuszna żona spełniła wolę chorego męża i wróciła, niebawem, wystrojona w je dwabną suknię, w brylantowe kolczyki, w perły, djamentowe szpilki i złote bransolety.

— Po co ta cała komedja? rzekła zbliżając się do łóżka chorego męża...

— To nie komedja!.. Usiądź tu blisko przy mnie — tak!...

— Co ty chcesz?..

— Ja nic nie chcę.. Tylko, widzisz, ja się boję, że gdy będę umierał, to może przyjdzie djabeł — a jak on cię zobaczy tak wystrojoną, to z pewnością mu się podobasz — on mnie da pokój i weźmie się do ciebie, a ty, mądra kobieta — ty sobie już z djabłem poradzisz.. Sioj!...

= Trafny, czy nietrafny pogląd?..

— Czy to prawda, żeś ty się przechrzcił?...

— Tak jest — prawda.

— Ty taki prawowierny żyd — to źle, to bardzo źle..

— Mam dzieci: jeden chce być oficerem, drugi sędzią, a Mańcia nie chce, ani słyszeć o mężu, żydzie... Zrobiłem to dla dzieci, że zostałem katolikiem...

— To już lepiej było przejść na protestantyzm...

— Oni mają już za wiele żydów — tam już jest dla nas za ciasno... Nie ma interesu — za wielka konkurencja!..

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz Numer 3).

Siła jego dobroci serdecznej powstrzymywała gorycz, mogącą zatruć mu życie, mogącą zalać mu serce żółcią. Ćwiczył się też w cierpliwości od lat wielu — od maleńkości prawie. Ojciec dla tego nie posyłał go do szkół publicznych, aby mu oszczędzić upokorzenia w obec kolegów, silniejszych, zdrowszych, kształtnych; ale ludzie, skarani od natury na jakąś nieforemność, muszą przejść prędzej, czy później boleść tego odkrycia, że są czemś potwornem i wyjątkowem na świecie.

Zgromadzenie przedwyborcze zostało zwołane do obszernej sali, wynajmowanej zwykle na ten cel, a wstęp był tu wolny każdemu; tłok też był wielki, a publiczność nie należała do wyborowej, zwłaszcza pod względem elegancji i toalety.

Lady Lashmar, której krzesło było ustawione na estradzie, z boku miejsca przeznaczonego dla mowcy, przerażała się prawie widokiem słuchaczy, którzy w jej wyobrażeniu wyglądali jak dzicy ludzie. Współczucie... litość.. miewała czasem w sercu coś podobnego, ale tylko dla żebraków, lub kalek, tu zaś wzruszenie serdeczne uważałaby za niestosowne, nie na miejscu.

Mowca zaprezentował się tej publiczności wcale po pańsku, ale jakaś cecha wojskowej rycerskości dobrze za nim przemawiała. I styl jego mowy był podobny; otwartość, szczerość pewna, głos męski i dźwięczny, jednały mu słuchaczy. Zapewniał, że pragnie szczęścia tego angielskiego ludu, za którego spokój i swobodę piersi nadstawiał, że popycha go nie ambicja, bo dość mu tego, co zyskał już sobie w służbie ojczyzny, ale czując się jeszcze silnym i nie starym, chce być użytecznym, chce przydać się na coś narodowi swemu. Ponieważ coś wtrącił zręcznie o braterstwie tego chrztu krwi, która na polu walki z żył jego wypłynąwszy, zmieszała się z krwią synów ludu, podbił sobie gorętszą część zgromadzenia. Już niejedne ręce były gotowe do oklasków, gdyby nagle nie odpowiedział mu w głębi sali głos brzmiący i dźwięczny, jak rzadko, a teraz szydzący dziko:

— Tak — zawołał ten głos — panu pułkownikowi dobrze jest w Anglji, bo można mu powinszować tego, że jest zdrów i silny, mając codzień na swoim stole, jeżeli nie pieczonego bażanta, to sarnę, co dobrze karmi przy kieliszku wina. Otóż, jeżeli moi współbracia mi pozwolą, postaram się dowieść mu, że nie wszystkim anglikom tak się dobrze wiedzie w ich ojczyźnie.

— Mów! mów! — poczęły wołać liczne głosy, które może wydawały się liczniejszymi jeszcze, niż były rzeczywiście, z powodu, że podnosiły się bardzo głośno i powtarzały zawzięcie. Opozycja została zatem zgłuszoną i ledwie Spillington zdołał usiąść obok lady Lashmar, na mownicy zjawił się człowiek olbrzym, ogromnego wzrostu i niepospolitego wyglądu.

ROZDZIAŁ III.

Był to Boldwood. Ubrany był w ciemnoniebieską bluzę robotnika, ujętą w pół ciała skórzanym pasem, z białym kołnierzem od koszuli, wywiniętym na wąską obszewkę bluzy. Ukazanie się jego na estradzie mownicy, zostało przyjęte grzmotem oklasków, które przeczekał cierpliwie, choć były szalone i trwały stosunkowo długo.

— Dziękuję wam bracia, żeście mnie wezwali do przemówienia do was — rzekł głosem zupełnie różnym od tego, który brzmiał w odpowiedzi danej pułkownikowi. Był on teraz poważny i można powiedzieć łagodny. — Dziękuję wam. Chcecie usłyszeć, co myślę o kandydaturze pułkownika Spillington i ja nawzajem pragnę wam to powiedzieć. Bił się on za Anglją, jak nam wygłosił... bardzo dobrze! Każdy z nas walczy za nią, jakkolwiek różną bronią i w różnego rodzaju walkach. My, bracia, jesteśmy jej żołnierzami pracy, jej potęgą spokojną, jej siłą podstawową, ja przynajmniej czuję to — że jest we mnie cząstka jej potęgi...

Wstęp ten prowadził jedynie do tego, aby urok rycerskości pułkownika obniżył się w pojęciu słuchaczy — aby znikł i w tym sensie zręczny orator prawił dalej.

— Krople potu, roszącego codzień czoła pracowite, — to coś, co waży również na szali zasług Anglika dla jego ojczyzny i nie mniej, niż krew, bo to krew jest także, wyciśnięta z głębi istoty ludzkiej, w wydatku jej sił dla dobra ogółu. Ale wśród tego ogólnego dobra, znaczyć też coś musi dobro jednostki. Każda z tych jednostek ma prawo dobra tego dla siebie pragnąć i szukać dróg do osiągnięcia go...

Tu począł mowca rozwijać teorje swoje o dobru ogółu i dobru jednostki, a głos jego coraz to w siłę rósł, brzmiał coraz mocniej, lecz razem i słowa stawały się coraz gorętsze, a lord Lashmar doznawał też coraz to silniejszego wrażenia, bo i głos tego człowieka zdawał mu się znajomym, słyszanym kiedyś.

— Kiedy, kiedy przecież?

Mowca zrobił ręką ruch, jak gdyby chciał odgarnąć sobie z czoła włosy, które jednak, krótko obcięte, nie mogły się tam zwieszać i chyba chciał on przyprowadzić do porządku tłoczące się nawałem myśli, których mnogość przeszkadzała mu; ale ten jego gest, stał się dla pamięci lorda Lashmar jak gdyby błyskawicą światła. Przypomniał sobie naraz, gdzie i kiedy widział tego człowieka.

Na kilka miesięcy przed śmiercią jego matki, gdy zdjęta smutnem przeczuciem bliskiego końca wędrówki ziemskiej, wracała z małym swym synkiem z Włoch do kraju, a mąż wyjechał na jej spotkanie, zatrzymano się dla odpoczynku w Oxfordzie, gdzie właśnie odbywały się wyścigi wodne studentów uniwersytetów Oxford i Cambridge, walczących tu ze sobą pod dwoma flagami: niebieską i czerwoną; w jednej łodzi — oxfordskiej, znajdował się młody olbrzym ciemnowłosy, z tem czołem szerokiem i niskiem, z temi potężnemi barami, które lord Lashmar widział teraz przed sobą. Było te temu lat dziewiętnaście i oto spotyka się on teraz z tym człowiekiem, też walczącym o tryumf tego, co sobie stronnictwem swem uczynił, co sprawą swoją zrobił zapaśnik ten olbrzymi...

Wtedy Boldwood, to jest człowiek znany dziś pod tem nazwiskiem, nie dał sobie zwycięztwa przeciwnikowi wydrzeć, wtedy otrzymał je i dostał nagrodę złotego łańcucha; czy przecież dziś stanie się tak samo? Na delikatne oblicze młodego lorda wystąpiły dwie gorące plamy rumieńca, bo Boldwood ciskał słuchającemu go chciwie tłumowi prostodusznego ludu frazesa, wprowadzające ten lud na błędne manowce myśli. Było tam na dnie złote ziarno prawdy, była tęsknota za sprawiedliwością, pojętą niezawiśle i szeroko, ale wszystko to zmieszane z mrzonkami fantastycznemi. Przytem namiętność zamroczyła mowcy oblicze prawdy i czyniła go jednostronnym.

W sercu młodego Lashmara obudziło się pragnienie, jak gdyby obrony tych wywodzonych na manowce; co w nim było uczuć chrześcijanina i miłości ubogiego, w pocie czoła pracującego ludu, podniosło mu teraz serce. Uczuł się jakoby rycerzem tych tłumów ciemnych, nie znających dróg swoich i żywo, szybko posunął się na miejsce, z którego zszedł Boldwood. Stało się to tak prędko, że w sali ledwo się dała widzieć akcja tej przemiany i widzowie mogli doświadczyć niemałego wrażenia kontrastu, gdy po olbrzymie pełnym gwałtowności i dzikiej siły, ujrzeli przed sobą postać szczupłą, delikatną, mimo ułomności

swojej, pociągającą siłą jakiegoś nieokreślonego wdzięku dobroci, łagodności i spokoju. Uciszono się też prędko, jak gdyby pod nakazem nagle wywołanego uszanowania.

— Lord Lashmar!... szedł wśród zadziwionego tłumu szept cichy, bo w mieście znano go głównie z tego, że jest uczony, że przebywa pół dnia w bibliotece.

On z gorętszym niż kiedy blaskiem w pięknych oczach, z gorętszym niż kiedy rumieńcem na delikatnej, pięknej twarzy, zaczął najpierw od wywodu, co to jest szczęście, w jego prawdziwem znaczeniu, potem przechodząc do tego, komu głównie wierzyć można, na czyjej radzie można jedynie się opierać, rozwinął przed umysłem słuchaczów obraz i rozbiór tych teorji, które obłąkać mogą ludzi powierzchownie rzeczy biorących: tych, co są marzycielami, tych, którzy są namiętni i zaślepieni przez to. Głos łagodny i spokojny, cichy prawie, miał przecież tę dźwięczność dobitną, że nie brzmiąc gwałtownie, nie przechodząc w ton podniesiony, dawał słyszeć wyraźnie słowo każde w najodleglejszych miejscach sali.

Nie rozgorączkowywał on, nie porywał, nie unosił, lecz przeciwnie, przez swój spokój uspakajał i wywierał też skutek, dla każdego mowcy pożądany, że żadna z jego myśli nie ginęła dla słuchaczy, bo nie wzburzeni, nie roznamiętnieni, przyjmowali je w umysły, gdzie do przekonania ich trafić mogły.

Stan ten dał się poznać po słuchaczach, widać w nich było skupienie uwagi i pracę myśli nagle ubudzonej. Boldwood to spostrzegł, odczuł to i znać było, że go gniew ogarnia. Siedział teraz na estradzie obok pułkownika i twarz jego, widzialna dla słuchaczy zajmujących salę, zaczęła wyrażać to szyderstwo, to pogardę, lecz wkrótce znać było, że się gotuje na odpowiedź, że zapewne wystąpi raz jeszcze. Ruchliwe, namiętne jego oblicze odbiło wszystkie te przejścia jego myśli, gdy nagle obrócił się żywo po za siebie Przez tylny przedsionek sali, którędy zwykle wchodzili i wychodzili mowcy, wsunął się ktoś i zaczął coś żywo opowiadać kilku osobom, stojącym za krzesłami prelegentów.

Boldwood usłyszał wyraz: ogień... a potem Hotel Goldwina!...

Hotel Goldwina był to ogromny budynek o sześciu piętrach, rodzaj koszar, podzielonych na maleńkie pomieszkanka, zajmowane przez ludzi ubogich, głównie robotników fabrycznych. Wzniesiony na oddalonem od środka miasta przedmieściu, hotel ten był zawsze zapełniony od góry do dołu i tworzył rodzaj ludzkiego ulu, takiej ciasnoty, takiego natłoczenia, o jakie trudno sobie zrobić wyobrażenie tym, którzy nie znają podobnych koszar ubogiego ludu w Anglji.

Boldwood mieszkał tu na czwartem piętrze, z dzieckiem swem jedynem, córeczką małą, zajmując dwa pokoiki.

Ludzie mówili, że ją niezmiernie kochał, wracał do niej zawsze na godziny południowego odpoczynku, aby razem z nią zjeść obiad, który zamawiał u jednej z sąsiadek, ale nie powierzał nigdy jej samej nikomu. Wychodząc, zamykał ją, acz starannie chował wszystko, przez co dziecko mogłoby sobie zrobić szkodę jakąś, zostawiał jej coś zjeść i pić, zostawiał zabawki, któremi bawić się uczył ją w niedzielę i tak zabezpieczywszy od głodu i nudy, zamykał maleństwo, które spokojnie i cicho czekało jego powrotu. A dziewczynka była bardzo rozumna i łagodna, kochała ojca tak namiętnie, jak on ją i słuchała go też święcie. Nie płakała nigdy w jego nieobecności, a przynajmniej nie płakała nigdy tak głośno, aby to ktoś usłyszał. Ludzie bardzo żałowali niebożątka. Inne dzieci miały obok siebie rodzeństwo starsze, lub młodsze, w braku tego matki dobierały im dzieci sąsiadek, tworzyły małe kolonie ze starszych i młodszych, ale Boldwood widać się bał o jaki przypadek dla swej jedynej dziecinki i zamykał ją samotną

I ten to człowiek usłyszał teraz nagle przerażające słowa, że dom, w którym jego córeczka pozostała zamkniętą — pali się!...

Zerwał się z krzesła z dzikim krzykiem:

— Ogień!... co?... pali się... pali się hotel Goldwina!...

Był blady, jak ktoś który dostał śmiertelny raz w serce, a gdy dodał potem w wykrzyku rozpacznym: — Moje dziecko! moje dziecko!... i rzucił się gwałtownie do drzwi, widać było, że pierś jego rozrywa trwoga najwyższa.

Wiec skończył się od razu i w wielkiem zamieszaniu. W sali znajdował się niejeden mieszkaniec hotelu Goldwida, a przytem pożar ten zainteresował i przestraszył wszystkich. Taki ogromny gmach i tak pełen ludzi...

Sala opróżniła się w okamgnieniu i tylko kupka naszych znajomych z Lashmar Castle została na estradzie. Nawet lady Lashmar uczuła się wzruszona tem położeniem okrutnem ojca, którego dziecko było zamknięte w palącym się domu. Straszna tragedja!...

Lord Lashmar podał jej rękę, aby odprowadzić do powozu, przecież przeprosił, że z nią nie pojedzie. Chciał wiedzieć, co się stanie? Jeżeli hotel Goldwina spali się, wielka liczba rodzin rzemieślniczych zostanie na bruku. I jego szczególniej interesował los Boldwooda, nie mógł zapomnieć tego krzyku boleści: — Moje dziecko! meje dziecko!...

— Skoro rzecz się rozstrzygnie, najmę sobie w mieście powóz i wrócę — mówił.

— I ja z tobą zostaję Hubercie — rzekł pułkownik. — Nieszczęście jest wielkie i należy mu się pomoc.

— I ja... — zawołał Wiktor. — Hubert ma słuszność, że nie odjeżdża ztąd spokojnie, gdy stała się taka rzecz straszna. Byłoby znakiem niemiłosiernego barbarzyństwa.

— O nie... ty Wiktorze, jedziesz ze mną... ciebie nie zostawię tutaj — wykrzyknęła teraz lady Lashmar. — Przy pożarze w tym tłumie... och! nigdy, nigdy... Hubert, jako lord Lashmar, może powinien.. ale ty.., A gdyby zdarzyło się jakie nieszczęście?

— Właśnie dla tego, matko, zostanę. Jeżeli może być tu jakie niebezpieczeństwo, a Hubert powinien zostać tu dla swojej pozycji, to ja dla niego...

I dodał żywo do brata:

— Zostaję z tobą, Hubercie.

Ale pułkownik wmieszał się w tę sprawę. Lady Lashmar powinna była mieć towarzystwo syna, on zaś zostawał z młodym lordem. Obaj wrócą jeszcze na kolację, bo zaraz, skoro rozstrzygnie się rzecz z pożarom.

W tej chwili nadjeżdżała dorożka, lord Lashmar wsiadł w nią z pułkownikiem, a że obiecał woźnicy podwójną za kurs zapłatę, bardzo prędko dostali się na miejsce, objeżdżając bocznemi ulicami. Wąskie były i wysobie, więc zasłaniały pożar, tylko czerwona łuna na niebie po nad czarnemi domami obwieszczała, że ogień nie został przytłumiony.

Przeciwnie, szerzył się i ogarnął już cały budynek, który stał w płomieniach, podobny do wieży Babel, gdyby ją był nawiedził ogień niebieski.

— Jakie to szczęście, że się to nie stało w nocy — rzekł pułkownik w chwili, gdy wysiedli z Lashmarem na placyk, do którego dostęp był wolny, bo straż ogniowa działała od tyłu. — Gdyby tak pożar był wybuchnął wśród nocy...

— O... i tak będzie tu niejedno ciało ludzkie na węgiel spalone — odpowiedział mu ktoś z tłumu. — Kupa dzieciaków tam jest.

Wśród ogólnej wrzawy, słychać było krzyki i lamenty kobiece, wybijające się głośniej i gdy lord Lashmar z pułkownikiem przedarli się dalej na placyk, ujrzeli kilkanaście kobiet. chcących się gwałtem dostać do palącego się domu. Szlochały, targały sobie włosy na głowie i byłyby się rzuciły w płomienie, gdyby im na to pozwolono.

Nagle, na tej posępnej scenie, czerwono oświeconej coraz to gwałtowniej wybuchającymi płomieniami, ukazał się aktor nowy. Z po za tyłów płonącego domu, wydostał się na jego front człowiek bez czapki, bez odzieży wierzchniej, kolos ogromny, rozpychający wszystkich przed sobą. Był to Boldwood, łatwy do poznania między tysiącami i gdy nieszczęśliwe matki szlochały, mdlały, spazmowały bezsilne, on nie mogąc się dostać do wnętrza domu z jednej jego strony, teraz rozpaczliwie rzucił się w drugą. Jak, w jaki sposób miał tego dokazać, dostać się na czwarte piętro domu, którego schody niższych pięter stały w płomieniach, a nie było drabin wysokich tak niezmiernie, nikt nawet na domysł zdobyć się nie mógł, bo rzecz wydawała się niemożliwością. Ale on możliwość jednak znalazł. Zastępować mu drogi nikt nie mógł, nikt nie śmiał i on oto po drzwiach frontowych, po gzemsach, których się czepiał, jak kot dziki, począł się piąć ku górze, aż dostał się na balkon pierwszego piętra; gdzie zatrzymał się na jedno odetchnięcie piersi, aby zaraz potem, rynny się chwytając, drapać się dalej w górę.

Naraz oderwała się z dachu łata ognista i spadła — przeleciała tuż koło niego, cudem tylko jakimś nie tknąwszy go, nie zapaliwszy mu włosów na głowie. Przecież dość było, aby drgnął, aby na jedno mgnienie oka uczuł strach, na jedno mgnienie oka przytomność umysłu stracił, aby był, jak ona, spadł, runął na ziemię.

Z niejednej piersi widzów wydarł się krzyk przerażenia, ale on nie zdawał się nic słyszeć, nic widzieć, ani wiedzieć; rękami się rynny chwytając, nogami się po prostopadłej ścianie muru pnąc, rysował się na nim, ognistą łuną rozświeconym, ciemnym kształtem jakiejś nadludzkiej istoty.

I dosięgnął już drugiego piętra, a w tłum patrzących wstąpiła teraz nadzieja.

— Dostanie się... dostanie... — wołano.

Czy słyszy to? Posuwa się coraz wyżej, już prawie jest u okien trzeciego piętra i w tłumie kobiety płaczą wzruszone, modlą się. Lashmar jest cały zdrętwiały, bo gdyby teraz spadł?...



— Zkąd to wracasz, panie Macieju?...
— Z miasta — chodziłem po towar do swego sklepiku.
— Aha? dobrze, że was spotkałem. Ludzie się skarżą na was; zdzieracie ich... Jak to można tak postępować! Wstydźcie się! Toż to, powiadają, że zarabiacie gulden na guldenie!...
— Kłamstwo! proszę jegomości — wierutne kłamstwo — ja jestem kontent i dziękuję Bogu, jak zarobię cent na cencie!...

Musi już mieć dłonie do żywego mięsa ze skóry odarte, a cynk rynny jest niewątpliwie rozpalony do gorącości, przecież zdaje się teraz już wszystkim, że dokona swego, bo już jest tak bliski celu. Jak przecież będzie musiał, rękami trzymając się rynny, nogami poszukać framugi okna, które na szczęście jest tuż obok rynny? W tłumie mówią, że musi jeszcze się piąć tak wzwyż, aby się najpierw jedną nogą na tę framugę opuścić i grunt ten stały już pod sobą mając, dopiero prawą ręką okna się jąć, a lewą rynny się trzymając, drugą nogą na framudze stanąć. Tak.. inaczej nie może postąpić, musi tak zrobić!...

O! już teraz bardzo blisko, już teraz trzeba mu tylko raz jeszcze się wspiąć nogami, rękami raz się posunąć w górę, raz...

W tej chwili okno, które już jest, pod nim pęka i wybucha z niego snop ognia, a potem bałwan dymu — czarnego gryzącego, oślepiającego dymu i Boldwood — spada...

Runął na ziemię tak ciężko, że zdawało się, jakoby ta ziemia jęknęła, a tłum cofnął, rzucił się w tył, pchnięty przerażeniem. Nikt nie krzyknął, bo we wszystkich piersiach musiało w tej chwili zatrzymać się bicie serca — krew musiała zlodowacieć w żyłach.

Gdy kilka osób posunęło się później ku niemu, gdy się do niego schylono, pokazało się, że to już trup.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Otello w rzeczywistości.

Opowiadanie aktora.

Historja, którą chcę opowiedzieć, wydarzyła się dwadzieścia lat temu. Tak, jak teraz, tak i wówczas, byłem aktorem — tylko, że teraz mam stanowisko i imię, a wówczas byłem biedny, ale młody, pełen sił i nadziei w przyszłość. W czasie, do którego odnosi się moje opowiadanie, zacząłem wypływać na wierzch i powierzano mi już główne role w szekspirowskich dramatach. Występowałem więc w tytułowych rolach Hamleta i Otella w jednem z większych miast prowincjonalnych północnej Anglji. W ostatnich dniach sezonu, graliśmy kilka razy na przemian Hamleta i Otella, a jakkolwiek miałem powodzenie, muszę przyznać, że główną uwagę teatralnej publiczności zwracała niejaka pani Vernon, artystka niezwykłego talentu i urody. Po za sceną, aktorka ta była bardzo skromną, unikała towarzystw, a mnóstwo wielbicieli, grzecznie, ale stanowczo odpychała od siebie — niemniej posiadała ogromną sympatję publiczności i była przedmiotem hołdów i owacyj scenicznych. O pani Vernon krążyły najrozmaitsze plotki, do których ja nie przywiązywałem żadnego znaczenia. Opowiadali np., że zdradziła męża, uciekła od niego i kryje się przed nim wstąpiwszy, jako aktorka do towarzystwa dramatycznego.

Pewnego razu, jadłem objad w jednej restauracji, do której stale przychodziłem na posiłek. Do stołu, przy którym siedziałem, przysunął się jakiś młody jeszcze jegomość i zaczął mnie pilnie obserwować. Jedząc przeglądałem Otella, którego, właśnie miałem grać wieczorem, a jakkolwiek doskonale umiałem swoją rolę, w dniu, w którym miałem grać, odczytywałem ją kilkakrotnie — taki miałem zwyczaj. Pan, który siedział ze mną przy jednym stole, rozpoczął rozmowę:

— Przepraszam pana — czyta pan, zdaje mi się, Szekspira?

— Tak jest.

— I zdaje mi się Otella?

— Rzeczywiście.

— A wiem — pan w tej sztuce gra główną, tytułową rolę — ja znam pana ze sceny — pan jesteś Croften — nieprawda?.

Skłoniłem się na znak potwierdzenia.

— Ja także jestem aktorem — a to mówiąc podał mi swój bilet wizytowy, na którym przeczytałem nazwisko znanego londyńskiego tragika.

Rozmowa potoczyła się swobodniej i koniec końcem zaprzyjaźniliśmy się, tembardziej, że pochwały z ust tak sławnego artysty, któremi mnie obsypywał, o ile poznać mogłem, szczere i rozumne, pociągały mnie do niego.

Mój nowy przyjaciel okazał się znakomitym mimikiem.

Do mimiki przywiązywał on ogromne znaczenie, chętnie o niej rozmawiał i wtajemniczał mnie w jej arkana. Umiał on tak udawać pierwszorzędnych aktorów, tak ich wiernie naśladował, że mnie w zdumienie wprowadzał... Trudno go było odróżnić od tego, którego w najmniejszych drobiazgach kopiował...

Wie pan co — rzekł pewnego razu do mnie — rzeczywiście mam talent naśladowania niezwykły — ale, jednak, obawiam się, że przegram zakład...

— Jaki zakład?...

— Założyłem się o grubą kwotę, że gotów jestem grać pańską rolę np. Otella i nikt z publiczności nie pozna, że to ja gram, nie pan...

— No, to będzie chyba za trudno..

— Jak mi pan dopomoże, to wygram zakład...

— Wszystko zrobię, abyś pan wygrał, ale wątpię, czy to się panu uda...

Odtąd, mój przyjaciel i kolega studjował mnie całymi dniami. Nareszcie raz rzekł:

— Zdaję mi się, że jestem już gotów — trzeba już raz rozstrzygnąć ten zakład, bo ten, z którym się założyłem, nie chce już czekać.

— Dobrze, ale jak?...

— Pan dziś grasz Otella?

— Gram.

— Więc zrobimy tak. Ja przyjdę niepostrzeżenie do pańskiej garderoby, ukryję się, ucharakteryzuję się odpowiednio, a potem po skończeniu czwartego aktu, wyjdę za pana na scenę i będę dalej grał pańską rolę Otella...

Tak się też stało.

Gdy moja kopja wyszła na scenę, nie mogłem wytrzymać, aby ją tam nie zobaczyć. Zacisnąłem więc miękki, szeroki kapelusz na oczy, obwinąłem się przestronnym płaszczem i stanąłem w kulisie. Kopja była wspaniała, — zgłupiałem, po prostu, widząc siebie samego na scenie, z moim głosem, z moimi ruchami — no, jednem słowem — mnie...

Gdy się sobie tak zatopiony przyglądałem i zapomniałem o bożym świecie, spostrzegł mnie reżyser i podbiegłszy, ze zdumieniem zawołał:

— Co to jest?! Pan tu i pan tam! Czary jakie, czy co? Na Boga! co to jest!?...

Opowiedziałem w krótkości całą historję.

Nie gniewał się, ale był blady, jak ściana ze wzruszenia, a potem szeptał:

— To wielki aktor! to wielki aktor! ucz się pan od niego!...

Nastąpiło na scenie duszenie Desdemony... Publiczność szalała z entuzjazmu... Grzmot oklasków i formalne wycie, zdawały się rozwalić salę teatralną...

Scena duszenia skończona...

Ale w tej chwili, aktor Otello, moja kopja, nie robi tego, co następowało w sztu-

ce, lecz od razu przechodzi do przedśmiertnego monologu pozostawiając Emilję donoszącą o śmierci Rodriga z roztwartemi ustami i nie wiedzącą, co ma z sobą począć...

Otello mówi:

„Proszę was, gdy będziecie o tych wszystkich nieszczęściach pisać do senatu — przedstawcie mnie takim, jakim jestem, nie zmniejszajcie mojej winy i nie dodawajcie nic umyślnie... Napiszcie, że był to człowiek, który kochał zapamiętale i namiętnie... A potem dodajcie, że pewnego razu w Aleppo usłyszawszy, jak zły turek wymyślał na senat i bił wenecjanina, porwałem go za gardło i zakłułem — ot tak!!..." Mordercze narzędzie błysnęło i Otello zwalił się na ziemię...

Publiczność szalała z entuzjazmu!

Za kulisami powstał krzyk...

— Spuszczać kurtynę! Na Boga! prędzej! wołał reżyser. To prawdziwa tragedja! On się zabił naprawdę!...

Krew buchała z Otella. Gdy się zbliżone do niego — już nie żył...

— Zobaczcie — wołał rezyser — zobaczcie, co się tam dzieje z Desdemoną — z panią Vernon!

— Zaduszona na śmierć!

Znaleziony list przy Otellu, objaśnił wszystko...

Desdemona była prawdziwą żoną, a Otello prawdziwym mężem... Ze sceny wynieśli dwa trupy, także prawdziwe...

Dawniej a dziś.

Walczą ciała — albo duchy
W miarę chwil poddmuchów:
Były dawniej gminoruchy,
Dziś jest walka duchów.

* * *

Kto był słabszym — padał w pyle;
Dziś się broń zmieniła:
Dawniej prawda była w sile,
Dziś jest w prawdzie siła!

Józef Kościelski.

Teatr — koncerta — widowiska.

Schadzka, jednoaktowy obrazek p. Przybylskiego, który się ukazał przy końcu zeszłego tygodnia po raz pierwszy na naszej scenie, należy do nieszczęśliwych pomysłów tego utalentowanego autora — jest to rzecz blada, z oklepanemi sytuacjami i, powiedzmy prawdę, bez dowcipu. Tej drobnej pracy nie zdołała podnieść dobra gra pani Stachowiczowej, oraz pp. Trapszy i Feldmana, z których ten ostatni, dobrze i dobitnie odtworzył postać krakowskiego chłopa-gajowego.

Operetke jednoaktowa: *Nieprzyjaciel muzyki*, którą również w zeszłym tygodniu po raz pierwszy słyszeliśmy na scenie lwowskiej— jest dosyć zręczną bluetką muzyczną, w której pani Skalska, p. Kiczman i p. Laskowski, złożyli się na harmonijną całość.

W znanej krotochwili Zalewskiego: *Oj mężczyźni, mężczyźni!* a następnie w *Safandułach*, po dłuższej przerwie wystąpił p. Gustaw Fiszer. Utalentowanego i ulubionego komika publiczność witała serdecznie ciesząc się, że lwowska scena pozyskała znowu tego pierwszorzędnego artystę.

Pani Kamilowa, która się podobno, nazywa teraz Camillo, czy Camillini, śpiewała w zeszłym tygodniu po raz pierwszy w *Hugenotach*, partję królowej, po włosku, czy po wołosku, co, z resztą wszystko jedno, i dla włochów, i dla polaków...

U nas tu bo strasznie się jakoś zawłoszczyło we Lwowie, a jak p. Bernhardt zaczął rąbać tę włoszczyznę, także w *Hugenotach*, to dwóch włochów obecnych na przedstawieniu, odrazu zachorowało na influencę. Pani Kamilowa, czy Camillini, rzeczywiście, ciągnęła swoją partję, ostrożnie, delikatnie, po jednym włosku — za to p. Bernhardt pięknym, śmiałym i energicznym barytonem golił, jak Rinaldo Rinaldini z nad Wieprza..

Resztę było po dawnemu i tylko p. Zegarkowski partję basową ojca Walentyny, śpiewał u nas po raz pierwszy i mimo niedostatecznego przygotowanią, okazał prawdziwe zalety swego niezwykłego głosu.

Bawiliśmy się nie źle na czwartkowym *Balu maskowym*, chociaż wykwintność p. Warmutha, kazała często zapominać o tem, że bal, był u hrabiego — nagradzał za to głosem, a ponieważ pana Warmutha nie uważamy za polaka, więc mniejsza, że śpiewał z kiepska po włosku. Pani Lenczewska pod względem wokalnym i nawet gry, były heroiną „Balu" — włoszczyzna jej, oczywiście, przykre robiła wrażenie, które zaszło ztąd aż do Warszawy i radzimy pani L. przeczytać dzienniki warszawskie, aby się dowiedziała, co tam piszą, mimo rosyjskiej cenzury, o „ofierze" rządu rosyjskiego przetłomaczonej we Lwowie na włoskie selery... Pan Bernhardt śpiewał wybornie, ale... pim-pim panie Bernhardt!.., Reszta partyj w tej samej, znanej z dawniejszych przedstawień, obsadzie — wykonana dobrze, dopełniała całości. Wspomnieć jeszcze należy, że pani Skalska, partję pazia, odśpiewała z wdziękiem i brawurą.

Zaspokoi ciekawość...



— I gdzieżeś był, mój panie mężu?...
— Ważyłem się...
— No i dużo ważysz?...
— Sto ośmdziesiąt funtów, ale bez nóg...
— Jakto bez nóg?...
— A tak, bo jak mnie ważyli, miałem nogi spuszczone w powietrzu — siedziałem. więc nogi się nie liczą...
— Ciekawa też jestem, ile ważysz bez głowy...
— Drugi raz każę się zważyć do góry nogami i zaspokoją twoją ciekawość...

Z krakowskiego świata artystycznego.

Stałe sprawozdania artystyczne z Krakowa, rozpoczynam ze świata tonów. Obecnie wszyscy mówią tu o „Lutni": byłeś na koncercie „Lutni" — jesteś członkiem „Lutni" — ciągle jest na ustach wszystkich.

Drugi wieczór muzyczny tego sympatycznego towarzystwa, odbył się w poniedziałek dnia 11. stycznia, w sali Sukiennic i wypadł znakomicie. Dobrze wyćwiczone chóry towarzystwa wykonały kilka trudniejszych utworów z precyzją. Z werwą odśpiewano finał z 3-go aktu „Trawiaty" na 2 soprany, 2 tenory, 2 barytony i 2 basy z towarzyszeniem orkiestry, a szczególniej sopran dramatyczny pani Min., budził podziw znawców. Znany i ceniony pianista p. dr. Bylicki, odegrał misternie koncert F-moll Szopena z towarzyszeniem orkiestry i zebrał huczne oklaski. Lutnia nasza zawiązana została na wzór lwowskiej i warszawskiej siostry i dziś już je dościga.

Krakowska „Lutnia" zawiązanu została w listopadzie roku 1888. Młode to towarzystwo śpiewackie, które dziś w grodzie Krakusa zajęło już tak imponujące stanowisko dało swój pierwszy koncert w maju roku 1889 w salonach „Koła literacko-artystycznego".

Z początku szło wszystko wolnym krokiem, nie miała własnego lokalu, tylko tuliła się w tutejszym „Klubie urzędników pocztowych". Dziś liczy „Lutnia" prócz pań, przeszło 70 i śpiewaków mężczyzn — kilkaset członków wspierających — posiada własny lokal obszerny i znaczną bibliotekę. Do takiego nadzwyczajnego rozwoju towarzystwa, przyczynił się szczególniej finansowo dzisiejszy prezes towarzystwa p. hr. Zygmunt Cieszkowski, a pod względem czysto artystycznym dyrektor A. Sterbolt.

W środę dnia 13. b. m. odbył się w sali hotelu Saskiego koncert Miry Hellerówny, primadonny królewskiej opery w Peszcie, z współudziałem dra Bylickiego, Hocka i orkiestry 13. pułku. Koncertantka znana jest dobrze melomanom lwowskim, z występów swych w tamtejszej operze. Dziś posiada piękny, dobrze wyrobiony i postawiony mezzo-sopran o skali rozległej i metalicznem brzmieniu,

Verdiego „Ave Maria" z opery „Otello", o wysokim dramatycznym nastroju, oddała artystka ta wzorowo. W pieśni o „Wierzbie„

Verdiego, był smutek niekłamany. W nadprogramowym „Bollero“ Ardittego, była brawura i namiętność iście hiszpańska, gdy przeciwnie znowu nadprogramowy romans z opery „Mignon“, oddany był z poezją i wdziękiem, jak i dumka „Zosi“ i „Flisa“ Moniuszki. Koncertantka, śpiewała na dochód odnowienia kościoła na „Skałce“.

P. Franciszek Bylicki pianista, wykonał ze zrozumieniem dwa utwory Paderewskiego i zasłużone zbierał oklaski. Dzielna orkiestra pułku 13. której inne miasta i większe pozazdrościć nam mogą — odegrała Bacha transkrypcję na orkiestrę „Preludjum, chorał i fugę“, pod dyrekcją kapelmistrza Hocha prawdziwie klasycznie.

Zapowiedzianych jest jeszcze kilka koncertów w najbliższym czasie, z których w następnych listach mych złożę sprawozdanie, jakoteż, oraz z ruchu artystycznego na innych polach. *Maurycy Sieber.*

Z motywów zimowych.

Serce ludzkie — to drzewo, co w wiośnie
W strój majowy się zdobi radośnie;
Latem wieńczy koronę swą w kwiaty,
By na jesień plon wydać bogaty;
Wreszcie, z szaty odarte swej w zimie,
Traci siły, przysycha i drzemie...

Biada drzewu, gdy mu liście zielone,
Już śród wiosny poszarpią owady!
Biada sercu, gdy w niem złudzeń zasłonę
Zedrze z młodu zwątpienia duch blady!...

Biada drzewu, gdy mu latem brak rosy,
Bo wśród skwaru zbyt prędko usycha!
Biada sercu, co nie patrząc w niebiosy
Czerpie życia treść, z zmysłów kielicha!...

Biada drzewu, gdy w jesieni przedwcześnie
Wiatr mu owoc i liście rozwieje!
Biada sercu, gdy w niem życie boleśnie
Starga męstwo i zgasi nadzieję!...

Biada drzewu, gdy w zimowej zamieci,
Miast snu, znajdzie godzinę skonania!
Biada sercu, gdy mu jasny nie świeci,
W chwili śmierci brzask zmartwychpowstania!...

Serce ludzkie — to drzewo — jak ono
Często wieńczy się szczęścia koroną,
I, przeszedłszy przez lato uniesień,
Owoc czynów przynosi na jesień;
Czasem więdnie w rozkwitu godzinie,
A niekiedy na wiosnę już ginie.

F. Nowodworski.

Telegramy »Gońca i Iskry«

na cudzych drutach.

Nowy Sącz. W skutek nadmiernej ilości kiełbasy, którą burmistrz częstował gości na bankiecie, danym na pamiątkę przyjęcia jednego pompiera do straży ogniowej, wywiązała się influenca. Co tedy dr. Slavik wydał na kiełbasę, wróci mu się w postaci honorarjów lekarskich.

Stanisławów. Tutejsze kasyno ogłosiło konkurs na posadę referenta, któryby chodził po prywatnych mieszkaniach i zbierał ofiarowane darmo pisma polskie dla użytku czytelni kasyna. Referent taki za swoją czynność otrzyma co dzień wieczorem szklankę herbaty, bułkę i kawałek kiełbasy na widelcu.

Kołomyja. Rada miejska postanowiła nowo wybranemu burmistrzowi adwokatowi Dębickiemu, zawiązać usta, dopóki członkowie rady nie porozumieją się pomiędzy sobą.

Mościska. Burmistrz miasta i notarjusz, opracował źródłowo rozprawę o tem, że niesłusznie używane jest przezwisko „fujara z Mościsk“. Rozprawę swoją posłał akademji umiejętności w Krakowie.

Nowy Targ. Od nowego roku nie umarł jeszcze w naszym okręgu, ani jeden nauczyciel ludowy z głodu.

Jasło. Staraniem pewnego tutejszego obywatela, mają powstać bezpłatne poobiednie spalnie dla niezamożnej intelligencji.

Kraków. W miejsce słupków otaczających pamiątkowy kamień Kościuszki, które magistrat usunąć kazał — tenże magistrat, postanowił swoim kosztem wystawić na tym kamieniu budkę, w której sprzedawać się będzie gorzałka na kieliszki.

Autor komedji *Sto djabłów*, wystawionej na scenie lwowskiej, napisał nowy dramat historyczny p. t. *Psia krew!..*

Rzeszów. W sali magistrackiej, radny, adwokat Fechtdegen, miał publiczny odczyt p. t. „Kruk krukowi oka nie wykole, choć się podziobać mogą, czyli rada miejska i złoto rzeszowskie“!...

Z czarnej godziny.

(Mojemu synkowi).

Znać godzina przyszła czarna,
Że mi tęskno, smutno, mroczno —
A gdy patrzę w twoje oczy,
Moja ty dziecinko marna —
Ból szalony pierś mi tłoczy,
Choć świat cały się weseli
I rozbrzmiewa nutą skoczną.
Snać godzina przyszła czarna!

Gdy mnie ziemia tu przywali,
Kto ukocha cię — przyciśnie —
Kto wychowa i pożali,
Słówkiem znęci, cackiem błyśnie?
Jak samotny kłos na łanie —
Sama zginiesz w poniewierce
Moja ty dziecinko marna!
Ah, mnie z żalu pęka serce,
Gdy pomyślę: co się stanie...
Snać godzina przyszła czarna!

Śniłem, że ci wszczepię w łonie,
Gdy wyrośniesz, kwiatku luby,
Wszystko dobre, prawe, święte —
Że od złego cię ochronię,
Od bezdroża i od zguby.

Moja ty dziecinko marna!
Ah, godzina przyszła czarna,
Że ci z oczu, jako z dłoni
Wróżka — czytam straszne dzieje...
Choć serduszko dzielnie dzwoni,
Z czoła myśl pogodna wieje..

Co się stanie, ah, mój Boże,
Gdy śmierć moja nas rozdzieli,
Kto ci rzeknie: stój — bezdroże!
Jestem, jako posąg z spiżu;
Zadumany, cichy, senny,
Z wiarą tylko w Pańskim Krzyżu,
Którym miecie rzesza gwarna,
Choć wskazuje świt promienny —
Z wiarą, że cię On ustrzeże,
Moja ty dziecinko marna,
Nie da upaść w poniewierce
I pod skrzydła swe zabierze,
Co szlachetne wpoi w serce.

. . . . , ...

Ah, godzina przyszła czarna!

Z. Gr.

Doniesienia prywatne i publiczne.

O panu Janie Czubskim, którego *Mazurek* do słów Zahajkiewicza, daliśmy w ostatnim kwartale zeszłego roku w dodatku do „Gońca i Iskry“, z powodu jego kompozycyj, czytamy w jednem z pism lwowskich, między innemi, co następuje:

„Leżą przed nami najświeższe utwory muzyczne, sumiennego i pracowitego nauczyciela i artysty Jana Czubskiego, którego talent kompozytorski w ostatnich paru latach, szczególnie się rozwinął i dostarczył muzyce narodowej, czysto polskiej, kilku prac przejętych serdecznem swojskiem tętnem i bogatych w oryginalne melodje. Autor „Modlitwy Jagiełły pod Grünwaldem“ i „Duszy w Niebie“, dwóch pięknych kantat, znanych już naszej publiczności z koncertów, obdarzył nas znowu kilku mniejszemi kompozycjami, które się bardzo nadają do salonowego popisu. Na pierwszem tu miejscu kładziemy wielki „Polonez skrzypcowy“ Dmol, z pełną życia melodją, jasną i czystą, którego część Ddur i Gdur tchną wielką werwą, a pięciu ostatnich taktów, subtelnych i przezroczystych, prawdziwie pozazdrościć można artyście. Polonez ten, wykonywany już parę razy w muzykalnem gronie znawców, zyskał sobie u nas i nawet u włochów w Rzymie, dość wybrednych, gorące uznanie. Polska pieśń, to wędrowne dziecię, chodzi po ziemi i daje znać, żeśmy jeszcze nie oniemieli zupełnie. Podnieść też musimy bardzo eleganckie wydanie tego utworu, wiedeńskiej firmy Eberle Mała tu uwaga dla naszych wydawców, którzy nie odczuwają jeszcze konieczności nakładów muzycznych u nas......

„Mazurka“ na fortepian J. Czubskiego bardzo ładniutka. „Mazurek“ do śpiewu ze słowami Zahajkiewicza prześliczny, ułożony wygodnie, albo do śpiewu, albo na fortepian. Ofiarowany „Polskiej Młodzieży“ Polonez: „Naprzód“ na chór męski unisono, pełen werwy i jędrnego rytmu, z akompaniamentem, mianowicie trąbki, może się stać ulubionym chórem młodych głosów. „Pieśń do Matki Boskiej Ostrobramskiej“ do słów „z Litwy“, ofiarowaną ks. biskupowi Hryniewieckiemu, słyszeliśmy już nieraz śpiewaną w naszych kościołach, a w Krakowie możecie ją słyszeć w maju, graną na dwóch waltorniach na wiaży Panny Marji, o świcie.

Jeżeli dodamy do tego, że artysta nasz ukończył właśnie dwie nowe kantaty: jedną wielkich rozmiarów, na przeciąg całego wieczoru, p. t „Córa Piastów“, (słowa przerobione z poematu Syrokomli), drugą krótszą, p. t. „Rajska kołysanka“, osnutą na tle wschodniej legendy o Peri (sopran), którą rajskie duchy (chór żeński) chcą w swem gronie zatrzymać, to wypada nam tylko podziękować naszemu artyście gorąco za te prace i życzyć, aby dla swych dzieł polskich, przejętych natchnieniem, polskich i starannych znalazł wydawców. Nie powinien się też zrażać trudnościami, jakie każdy wybitny talent spotyka na swej drodze, a które gromadzić zwykły zazdrość, zła wola i niechęć tych, co sami nic nie produkują.“

W Jasionce koło Dukli, pobłogosławiony został przez miejscowego plebana związek małżeński między p. Antonim Smidzińskim, leśniczym, z panną Heleną Szulc córką znanego i powszechnie szanowanego obywatela i leśniczego. Licznie zebrany orszak weselny podejmowany był z prawdziwie polską gościnnością w domu rodziców panny młodej w Cergowej. Młodej parze szczęść Boże!

Uczestnik wesela.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

N. N. „prenumerator“ we Lwowie. To, co inne pismo zrobiło, lub robi, nie obowiązuje nas do niczego, a pańskie pretensje nie mają sensu i są z gruntu niesprawiedliwe.

Panna Ksawcia. W sprawach karnawałowych nie jesteśmy biegli — zdaje nam się, jednak, że po mleku, mogą skakać... cielęta...

Pan Izydor. Pański „Grzyb“ — poszedł do kosza.

Stały prenumerator w Krakowie. Dla nas ten polsko-żydowski żargon, jest formą humorystyczną zużytą, a jak w obecnym wypadku, nudnem naśladownictwem.

Fiu-fiu! Trzeba, rzeczywiście, mieć fiu-fiu w głowie, aby takie rzeczy pisać...

Zdradzona. Bywa, że ten, co zdradza, potem nagradza, ale bywa także, że „zdradzona“, chce być nagrodzona i kwita...

Wyga. Panie! teraz influenca — nie pisz pan takich wierszy.

Iks z Iksów. Dobre, ale musimy to wprzód przeczytać, bo kota w worku itd.

Publicystka. Ratuj pani sytuację — wszak gdzie djabeł nie może — to, podobno, babę pośle, chociaż utrzymyją teraz, że djabeł, jest na usługach... płci pięknej...

Pan Leopold we Lwowie. „Fradiavolo“ słabe i banalne — nie będzie drukowane. Powieść na teraz za duża, musi zaczekać. O mniejsze rzeczy bardzo prosimy.

Pan Jan Lewicki w Brooklyn (Ameryka). Redaktor nasz, prócz tego, co było w „Wieku“ o tym spadku, nic więcej nie wie, a jeśli w Ameryce trudno się dowiedzieć o szczegóły — to, cóż można wiedzieć we Lwowie, albo w Warszawie. Wszak to wiadomość, która przyszła do Polski z Ameryki

Nadesłane.

Dobre pieczywo, jest połową zdrowia ludzkiego, wielu też piekarzy korzystając z sytuacji, wcale nie stara się o to, aby pieczywo było smaczne i zdrowe, ale aby tylko było upieczone, a raczej ugotowane; czy po spożyciu takiego pieczywa człowiek zdrów będzie, nic to niedbałego piekarza nie obchodzi, sztuką takich jest, by jak najwięcej ściągnąć korzyści dla siebie, a o publiczność mniejsza, gdyż ona musi chleb jeść i za niego płacić tyle, ile sobie każą. Na tę kwestję inaczej zapatruje się pan Schürmer, właściciel piekarni we Lwowie, przy ul. Torosiewicza. Jego pieczywo odznacza się przewybornym smakiem, wypieczone znakomicie, co jest właśnie zaletą dobrego pieczywa Przeto poleca się Szan. P. T. Publiczności z całą sumiennością wyroby piekarskie p. Schürmera. (5542-5-1).

Znany zaszczytnie od bardzo dawna **magazyn Drexlerów we Lwowie**, oraz fabryka materaców i pościeli wszelkiego rodzaju i gatunku, odznacza się taką obfitością towarów, że bez przesady najwyszukańsze wymagania pod każdym względem zadowolnić może. Nieposzlakowana rzetelność, z jakiej słynie ta firma chrześcijańska i zacne obywatelskie stanowisko, jakie w mieście naszem zajmuje — zjednały jej szerokie i niepodzielne uznanie u publiczności, tak, że kupiecka firma Drexlerów, może służyć na wzór innym.

W obszernych magazynach Drexlerów, zwracamy szczególną uwagę na wyroby ich własnego zakładu, jak: **pościel zdrowia wełniana** systemu dra Jaegera — kołdry wełną owczą podszyte z wełnianą podszewką, bardzo lekkie, ciepłe i przyjemne do nakrycia, również są w wielkim wyborze takie same kołdry kryte wszelkiego rodzaju materją i na różne ceny, tudzież materace z wełnianej materji wewnątrz wypchane owczą wełną, materace włosienne, z morskiej rośliny, oraz sprężynowe materace obciągane drelichem. Wielki wybór gotowych sienników, poduszek pierza nych, włosiennych i z morskiej rośliny, oraz wielki skład rozmaitych płócien i gotowej bielizny na pościel, wełny owczej, waty, drelichów, wszelkich materyj jedwabnych, chodników, dywanów, firanek itp. Przyjmują wszelkie zamówienia na kompletne wyprawy własnego wyrobu, wykonując takowe sumiennie i po cenach możliwie najumiarkowańszych.

(5538-4-2). *Grono odbiorców.*

Wypróbowany przez pierwsze powagi fachowe i lekarskie buljon krajowego wyrobu w Łapszynie, zasługuje ze wszech miar na ogólne uznanie i rozszerzenie tego produktu, który, jak twierdzą doktorowie medycyny pp. Radziszewski prof. Uniwersytetu lwowskiego, dr. Schramm docent Uniw. lwowskiego, oraz dr. Zygmunt Kniaziołucki, że buljon wyrobu łapszyńskiego p. Brzeżany wypróbowany kilkakrotnie u chorych, jak i u zdrowych, daje najlepsze dowody o swej zawartości, obfitującej w części pożywne, jest czysty i zdrowy, wygotowany parą, przez co nie może być przypalony i tem samem zastępuje w zupełności tak zwane doskonałe ekstrakty mięsne zagraniczne, a nawet, że dla chorych żołądków jest daleko pożywniejszy i strawniejszy od zagranicznych tego rodzaju preparatów, przyczem znacznie tańszym.

Mnóstwo świadectw od osób zajmujących wysokie stanowisko w kraju i zagranicą, przy zamówieniu przesela zarząd dóbr w Łapszynie gratis. Buljon wyrabiany jest w 3 gatunkach i tylko wtedy jest prawdziwym, jeżeli jest wyrobionym w kształcie podkowy z krzyżem, zaś zagranicą tylko w tabliczkach płaskich po 25 dek. Cenę wskaże ogłoszenie w niniejszym numerze. 5378—6—5.

W mleczarni pani Jaworskiej przy ulicy Ormiańskiej we Lwowie L. 2., oprócz dobrego nabiału i wyśmienitej kawy wiejskiej, dostać można także wikt domowy, przy bardzo umiarkowanej cenie. Wiele osób stołujących się od dłuższego czasu w mleczarni p. Jaworskiej, wyrażają się najpochlebniej o jej kuchni, potrawy bowiem są zawsze czysto i bardzo smacznie przyrządzane, a uprzejmość gospodyni ujawnia się na każdym kroku, Przeto z całą sumiennością polecamy P. T. Publiczności zakład p. Jaworskiej. (5543-4-1).

Tylko krótki czas do oglądania!

Codzień otwarte

od godziny 9-tej rano do godziny 10-tej wieczorem przy ulicy Szpitalnej l. 3 (przedtem **Cyrk Sidolego**)

Historyczne Muzeum
i
Panorama
E. FRIEDMANA

składające się z osobistości należących do przeszłości albo do teraźniejszości, przedstawionych w naturalnej podstawie z wosku.

(5530-5-4).

BULJON

wyrobu

Kazimiery Matczyńskiej

odznaczony wielkim medalem bronzowym na wystawie w Krakowie 1891 r.

Nr. 00. z truflami Ko 7 złr. 50 ct.
Nr. 1. z zwierzyny i drobiu „ 6 „ 50 „
Nr. 2. doskonały „ 5 „ 50 „

Dla chorych buljon z samego najdelikatniejszego ptactwa i drobiu, bardzo przez lekarzy polecany, po 10 złr. kilo. (5374-st.-22).

Ekstrakt mięsny na sposób Liebiga, słoiki po 70 ct.

Sprzedaje Zarząd dworu Łapszyn, p. Brzeżany i Dom komisowy Makowiecki i Spółka w Tarnopolu.

KOKS.

Przy zbliżającej się porze zimowej, mamy zaszczyt zwrócić znowu uwagę Szanownej Publiczności na nasz **Koks łamany.** Cena naszego **Koksu** wynosi za 50 klgr. **70** ct. z wolną dostawą do mieszkań. Potrzebne reperacje i mniejsze przerabiania piecow i kuchni, do opalania naszym

Koksem

wykonujemy bezpłatnie.

Wszelkie zamówienia telefonem lub kartą korespondencyjną będą bezzwłocznie uskutecznione.

Zarząd zakładu gazowego we Lwowie.

(5481-10-7)

Niniejszem mam zaszczyt uprzejmie donieść, iż istniejący od r. 1855 **skład zegarków** s. p. ojca mego, otworzyłem na nowo z dniem 1. Października 1891, **przy ulicy Akademickiej l. 3** we Lwowie, pod firmą:

Tadeusz Miłaszewski.

Zaopatrzywszy skład mój w wielki wybór zegarków kieszonkowych, zegarów pendułowych i stołowych, potrafię wszelkim żądaniom łaskawych P. T. Odbiorców w zupełności, zadość uczynić.

Polecam również moją pracownię, w której naprawy szybko i sumiennie pod gwarancją uskuteczniam.

Z wysokiem poważaniem:
Tadeusz Miłaszewski
we Lwowie.

(5471-12-10).

Uwiadomienie.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, że otworzyłem w domu p. Aschkenazego **przy ul. Franciszkańskiej w Przemyślu**

Główny skład lamp
wiedeńskich Ditmara,

porcelany karlsbadzkiej, oraz wszelkiego gatunku szkła, po cenach najumiarkowańszych. — Polecając się łaskawym względom P. T. Publiczności,

kreślę się z szacunkiem
Isaak Oberländer.

(5406 12—11).

Kawiarnia Centralna
przy placu Sobieskiego w Tarnopolu.

Urządzona elegancko, z komfortem, poleca P. T. Publiczności w każdej porze dnia, wyborną kawę, herbatę i t. p. napoje, po cenie umiarkowanej. Usługa rzetelna i szybka.

(5518—4—4) Z poważaniem
M. Goldapper — kawiarz.

Bernhard Halpern

zegarmistrz,

we Lwowie  ulica Hetmańska l. 10.

poleca swój obfity

Skład wszelkich zegarów
kieszonkowych i ściennych.

Reperacje wykonuje rychło i tanio.
Na dwa lata gwarancja
z wyjątkiem przypadku.
5512—8—5

Elektrotechnik-mechanik

EDWARD GOTTLIEB

(przedtem E. Prayer)

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 23

(dawniej gmach pocztowy).

wykonywa telefony, mikrofony, sygnalizacyjne elektryczne czyli dzwonki domowe, maszyny lekarskie wszelkich systemów. — Zakłada gronochromy na budynkach i wierzach, kontrole elektryczne dla cegielni i fabryk. Podejmuje się konstrukcyj mechanizmów i wynalazków z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. — Przyjmuje zamówienia i naprawy wchodzące w zakres fizyki, mechaniki, miernictwa i przyrządy lekarskie — po cenach nader przystępnych. (5462 10-10).

Pierwsza galicyjska

Fabryka korków katalońskich

założona w roku 1877.

L. J. Malewski

we Lwowie
ulica Ormiańska l. 12.

Poleca wyrabiane w swej fabryce korki do beczek i butelek, w najlepszej jakości i tańsze od zagranicznych, także drzewa korkowe i koła do mielenia jagieł, podeszwy i koreczki damskie. — Przestrzegam P. T. Szan. Publiczność przed naśladownictwem, które nie wychodzi na korzyść odbiorców.
5533—12—2.

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że

w nowo otworzonej

pracowni rękawiczek

pod firmą:

LEOPOLD ZARĘBSKI

we Lwowie ul. Halicka l. 18.

wykonuję **rękawiczki** wszelkiego rodzaju, **najwykwintniejszym francuskim krojem**, jako też wyrabiam rękawiczki **Jozefinem** i **Mozkiete**, w dowolnych długościach, oraz przyjmuję rękawiczki do prania i czyszczenia. Zamówienia z prowincji uskutecznia się jak najrychlej

O liczne zamówienia upraszając, zostaję z szacunkiem
Leopold Zarębski.

(5494-4-4).

NOWO OTWORZONY

Zakład galanteryjno - introligatorski
MIKOŁAJA
GORSKIEGO

Lwów, ul. Batorego L. 28.

wykonuje artystyczne wyroby plastyczne, jako to:

Dyplomy honorowe, adresy, albumy, ramy pluszowe, kartony wgłębione (passepartouts), kasety na srebro i klejnoty, teki do pisania upiększane haftami i wprawianie haftów. Mszały, ewangeliony, książki do nabożeństwa, oraz naprawy książek od najwykwintniejszych do najskromniejszych i kaszowanie map (5525—10—3)

po najprzystępniejszych cenach.

Wszech nauk lekarskich

Dr. Jan Konarzewski

b. asystent Uniwersytetu w Krakowie, były docent rządowy król. Akademji w Kreutz, b. dyrektor szpitala powszechnego (Vakuf Spital) w Serajewie, b. lekarz portowy w Grawozie i t. d. osiadł we Lwowie i ordynuje od 1go listopada b. r. *ulica Pańska l. 6*, parter od godz. 10. — 12. i od $2^1/_2$ — 5
(5179 - 4 - 4.)

Niesłychana taniość!

Nową garderobę mezką i dziecinną, zakupioną w Spółce krawców lwowskich, oraz futra, meble, dywany i t. p. poleca po najniższych cenach, Zakład Jaszczyszyna w Gmachu teatralnym we Lwowie
5532—12—3.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.